

Berenika Lenard i Piotr Mikołajczak

szepty kamieni

*historie
z opuszczonej
Islandii*



Berenika Lenard i Piotr Mikołajczak

szepty. kamieni

*historie
z opuszczonej
Islandii*



OTWARTE

Kraków 2017

Copyright © by Berenika Lenard

Copyright © by Piotr Mikołajczak

Opieka redakcyjna: Karolina Kaim

Redakcja tekstu: Janusz Krasoń

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: s. 1 – Berenika Lenard, s. 4 – Piotr Mikołajczak

Fotografia autorów: Marta Magdalena Niebieszczańska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Fotografie na wkładkach: nr 1, 2, 3, 4 – Tihana Franković Kralj,
nr 5, 6, 7, 9, 16–32 – Berenika Lenard i Piotr Mikołajczak,
nr 8, 10–15 – ze zbiorów autorów

Adiustacja, korekta i łamanie: Studio NOTA BENE

ISBN 978-83-7515-437-5


OTWARTÉ
www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Odważnym ludziom z Djúpavíku

Islandia pełna jest muzyki. Wiatr zmienia tu dźwięk w wiersz bez rymów i rytmu. Ziemia pulsuje. Gęste chmury kłębią się niespokojnie nad głową, ocean szumi jednostajnie, budząc grozę i zachwyt. Podobno tutejsze kamienie szepczą. Nawet w ciszy, bezwietrznej i z pozoru martwej, słyszać wyraźnie, że nie jesteśmy tu sami.

Lawa obok wulkanu Þríhnúkaígur jest wciąż młoda, choć wydaje się starsza niż wszystko, co widziało się wcześniej. Trzydzieści kilometrów od Reykjavíku nad kilkumetrową szczeliną przerzucono niewielki mostek. Od przewodnika dowiadujemy się, że gdybyśmy mogli w tym miejscu przeniknąć w głąb ziemi, znaleźlibyśmy się w punkcie styku dwóch płyt kontynentalnych – Europy i Ameryki. Kilka minut spaceru w stronę trzech wzgórz i wchodzimy do windy, która zjeżdża w czeluść

wulkanu. Szalejący na zewnątrz sztorm byłby tu ledwo słyszalny. Spadające krople, echo i różnobarwna magma tworzą niezwykłą symfonię, w której można się zatopić na długie minuty. Þríhnúkaígur jest wyjątkowy. To jeden z nielicznych wulkanów na świecie, które można zwiedzać od środka. Zdumiewający, olśniewająco piękny twór natury, atrakcja turystyczna, a zarazem miejsce mroczne, posępne, prowokujące do refleksji o dojmującym poczuciu samotności i opuszczeniu. Tak jak cała Islandia leżąca na środku bezkresnego oceanu.

Za oknami przelewają się fale deszczu pchanego potężnym sztormem. Krople uderzają w szyby z taką mocą, że zaprzeczyłbyś, iż to w ogóle możliwe. Ptaki stoją w miejscu, walcząc z wichurą, ale większość jest po prostu zwiewana z powierzchni nieba i zmuszona do lądowania lub ostrego pikowania w stronę kamienistych zboczy. Góry pokrywa warstwa przeczystego śniegu, spod którego wyłaniają się większe skały, plamy rdzawej trawy, zamrożone strumyki inkrustowane obłymi kamieniami. Nagle słyszysz drapanie w drzwi i cichutkie skomlenie. Spokojnie wstajesz, ubierasz sztormiak, bierzesz kumpla, który od trzydziestu sekund macha ogonem, przygotowując pęcherz na spotkanie z pierwszym lepszym iglakiem, i wchodzisz bez oporów w środek gwizdzącego wśród kamieni piekła. Może jeszcze zrobisz zakupy w jedynym sklepie w wiosce, oddalonym o dwa kilometry, co w tych warunkach traktowane byłoby przez ciepłolubnych jako przygoda życia. Ale jesteś z Północy i nie ma „lubię” ani „nie lubię”. Tu po prostu tak jest.

Islandia to najpóźniej zasiedlony obszar Europy. Wyspa, poza okręgiem metropolitalnym, zdaje się najbardziej opuszczonej częścią Starego Kontynentu. Nieco ponad sto tysięcy kilometrów kwadratowych, trzysta sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Prawie dwa miliony turystów w 2016 roku. Niewiele, biorąc pod uwagę, że w samym Krakowie jest ich rocznie ponad dziesięć milionów. Owiec, biegających po ogromnych pastwiskach, jest na wyspie trzy razy więcej niż ludzi. Kraj sag i skyru najbardziej znany jest z opisywanych w każdym przewodniku gejzerów, gorących źródeł, wybuchu wulkanu Eyjafjallajökull, magicznej zorzy i występu narodowej kadry w piłce nożnej na mistrzostwach Europy we Francji. Są jeszcze Björk, Of Monsters and Men i Sigur Rós, lopapeysa – swetry z owczej wełny, a także odpowiedzialni za kryzys z 2008 roku bankierzy, kończący odsiadywać wyroki w islandzkich więzieniach położonych w niewymownie pięknych „okolicznościach przyrody”.

Nas zafascynowały ruiny: rozsypujące się domostwa, upadłe fabryki, zrujnowane farmy. Podczas podróży islandzką jezdnią – drogą numer jeden, główną trasą okalającą wyspę – widać je po obu stronach drogi. Sprawiają wrażenie, jakby były tu od zawsze. Najczęściej mającą za ścianą mgły i deszczu, idealnie wkomponowane w ciekący mrok. Ich liczba przy drodze dziwi, choć w tym kraju nie ma chyba rzeczy, której nie można przekuć w zachwyty. Na Islandii znajduje się ponad sześćset opuszczonych farm, przetwórni, ogromnych budynków i małych domków pośrodku niczego, opisanych przez stowarzyszenie Eyðibýli

á Íslandi (Opuszczone gospodarstwa na Islandii). Siedem kilkusetstronicowych książek z opisem dojazdu, historią i mapami. Dodając do listy szopy, owczarnie, baraki oraz miejsca, do których członkowie stowarzyszenia nie dotarli, a także pozostałości w formie fundamentów, może być ich nawet kilka tysięcy.

Na półwyspie Snæfellsnes, niedaleko brzegu, stoi wychłostana wiatrem farma Dagverðará, z której została już tylko sama konstrukcja, magnetycznie przyciągająca wzrok. Podobno mieszkał tam jeden z ostatnich islandzkich magów. Obdarty do szkieletu budynek to ponura ruina, lecz równocześnie jest w nim coś przyciągającego. Dziś, chociaż to miejsce puste, samotne i opuszczone, żyje w pewien dziwny sposób. Z tyłu budynku pasą się owce, z roku na rok przybywa śmieci, gdy dotarliśmy tam ostatnio, przywitał nas przybity do ściany kruk, a w 2015 roku zachana para zza oceanu nagryzmoła na murze kolorowy napis ICELAND, co odbiło się głośnym i negatywnym echem w islandzkich mediach. Islandczycy z półwyspu mówili w wywiadach: „Mamy nadzieję, że żyjące tam niewidzialne istoty was za to dopadną”. Jak do tej pory brak doniesień z Ameryki o ofiarach islandzkiej zemsty, za to wiatr i deszcz dawno starły już napis. Każda z dziesiątek podobnych farm ma długą, często skomplikowaną lub niejasną historię, obok której trudno przejść obojętnie.

Właśnie na historii chcemy się skupić. Najpierw postanowiliśmy, że w ramach projektu „Szepty kamieni. Historie z opuszczonej Islandii” opiszemy na naszym blogu dwadzieścia jeden

najciekawszych opuszczonych miejsc. Po otrzymaniu błogosławieństwa od Eyðibýli á Íslandi, objechaniu wyspy dookoła, zwiedzeniu budynków, o których zapomniano na dziesiątki lat, i rozmowach z okolicznymi mieszkańcami nie mogliśmy się zdecydować, jak spośród tylu miejsc wybrać te szczególne. Po dwóch tygodniach wiedzieliśmy już, że decyzja o zakończeniu tego przedsięwzięcia na blogu była dobra. Znaleźliśmy miejsca i ludzi, o których napiszemy nie post, ale książkę. *Szepty kamieni*, choć z początku miały być opisem podróży śladami opuszczonych budynków, obrosły w historie nieoczywiste. Przeprowadziliśmy dziesiątki rozmów z rodowitymi Islandczykami, ludźmi dumnymi z własnego kraju i tradycji, nierzadko jednak przepełnionymi goryczą oraz niechęcią do tego, co przyniosły „nowe czasy”, i krytycznych wobec własnego narodu. Znajdziecie tu zatem nie tylko stare opowieści z czasów „wypraw śledziowych”, ale także rozważania o teraźniejszości i przyszłości wyspy, historie emigrantów, którzy opuścili lub niedługo opuszczą Islandię, ich wspomnienia sprzed wielkiego kryzysu i tuż po nim, gdy wielu zniszczonym i zapomnianym miejscom dano drugą szansę. Przeczytacie również opowieści ze wschodu i południa kraju, a także z archipelagu Vestmannaeyjar, niewielkiej części Islandii, którą zamieszkują niezwykli ludzie. Pojawia się też elfy i trolle – turystyczno-emigranckie mity – które w trakcie naszej podróży uleciały z wiatrem.

Pierwszy lot nad Islandią. W dole majaczy ziemia, ale inna niż zwykliśmy ją oglądać. Księżycowy krajobraz. Spokój, samotność, opuszczenie. Kraina skuta lodem, stada głodnych

chmur przetaczające się ponad górami i absolutne pustkowie. Samolotem wstrząsają silne podmuchy wiatru. Lądowaniu towarzyszy pomieszanie uczuć: radość, zachwyt i onieśmienie, ale też niepokój, niejasne poczucie zagrożenia. Odnosisz wrażenie, że ten kraj wysze z ciebie całą ciemność i niepokój, a zostawi po sobie rzeczy dotąd nienazwane. Bo podobno na Islandii łatwo odnaleźć siebie, oderwać czas przeszły i przyszły. Wystarczy być tu i teraz. Znaleźć ukojenie, ciszę, pozbyć się ukrytych lęków, zapomnieć o zgiełku, chaosie i dręczących snach. Powtarzane są historie o duchowych przemianach, wyzwolonej miłości do przestrzeni. Wypełniona sagami i mrocznymi opowieściami Islandia kusi obietnicą wolności, którą jeszcze niedawno sami Islandczycy usiłowali sprzedawać jako swój produkt narodowy. Najczystsza woda, najczystsze powietrze, nieskrępowana wolność. Jednak życie we współczesnej Islandii nie przypomina jednej z licznych opowieści Aldy Sigmundsdóttir. Nie jest też Islandia idylliczną krainą, gdzie za oknem codziennie koi nerwy widok ośnieżonych górskich szczytów. To historia o przetrwaniu. Najtrudniej o to na Fiordach Zachodnich, najmniej zaludnionym regionie Islandii.

Fiordy Zachodnie

JÓN, KOT I POŚLADKI TROLLA

Mówią, że to kraina potworów i czarnoksiężników. Folklor jest tu ciągle żywy i nie służy upiększaniu świąt ani karnewalizacji życia. Region Vestfirðir to najstarsza geologicznie część Islandii, rozciągająca się na powierzchni ponad dwudziestu dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych. Góry, jakie dziś możemy oglądać, zaczęły się tworzyć około piętnastu milionów lat temu w wyniku licznych erupcji wulkanicznych. Pogoda jest tu znacznie bardziej surowa niż w pozostałych częściach kraju, a promienie słońca nie docierają do niektórych miejsc ponad dwa miesiące. Teren zaludniony jest przez zaledwie dwa i pół procenta Islandczyków. Jeszcze sto lat temu mieszkało ich tu ponad trzynaście tysięcy, dziś jest ich pięć tysięcy mniej. Większość mieszkańców regionu żyje w Ísafjörður, a reszta osiedliła się wzdłuż pięćdziesięciu innych zatok stanowiących całość Fiordów Zachodnich. Można się tam dostać na

kilka sposobów – promem lub kilkoma drogami, które odbijają z islandzkiej jedyńki.

Odwieczne marzenie wielu osób, by uciec od świata, dać swoim dzieciom spokojne miejsce do życia, dorastania i zdobywania doświadczeń zupełnie innych niż te, które mają na co dzień w wielkich miastach, znajduje realizację właśnie tam, na obszarze wyludnionych Fiordów Zachodnich. Brak irytujących reklam przy drodze, tłumów w sklepach. W porównaniu z resztą kraju cywilizacja jest tu w wyraźnej defensywie. Wyczuwa się za to ogromny respekt w stosunku do natury, która przez setki lat kształtowała charakter mieszkańców Vestfirðir. Cisza, za oknem olśniewające pejzaże. Domów nie zamyka się na klucz. Według wielu poznanych przez nas Islandczyków, na końcu świata – jak często określa się północny zachód Islandii – można znaleźć wszystko, choć nie ma tu prawie niczego.

★

Naszą podróż zaczęliśmy w Stykkishólmur, skąd na Fiordy Zachodnie odpływa prom. Po drodze mijamy zdeformowaną pogodą wyspę Flatey, na której straszą odrapane budynki. Z pokładu widzimy porozrzucane śmieci, wychodek, proste graffiti namalowane białą farbą: „Sklep portowy był tutaj”. Pod napisem domalowany uśmiech i trzy ptaki. Na wzgórzu tradycyjny islandzki dom, na jego dachu linieje trawa. Nieco dalej, na samotnej skale, kontrastująca z szarością dnia dumnie stoi pomarańczowa latarnia morska. Wśród odrapanych, przeżartych

przez rdzę budynków wygląda niczym ostatni szachowy pionek na zniszczonej planszy. W głębi wyspy widać jednak częściowo odmalowane domy, nową blachę na ścianach, szary kościół. Wyspa z oddalenia przypomina plan filmowy, gotowy jako tło ekranizacji nowego kryminału Arnaldura Indriðasona.

Rozładunek nie trwa długo. Przywieziono jedzenie, sprzęty, dostarczono alkohol. W zamian Flatey wrzuca na prom śmieci i surowce wtórne. Dosiada się też kilku turystów, którzy w rozmowie z nami stwierdzili, że już nigdy tu nie wrócą. Ruszamy w dalszą drogę. Po czterech godzinach bujania zjeżdżamy z przykładu, posilamy się zupą z dorsza w restauracji blisko portu i szutrową drogą zmierzamy na północ. Przebijamy się powoli przez gęstniejącą z każdym kilometrem mgłę, mijamy zanurzoną w niej, opuszczoną stację ratowniczą, gdzie znajdujemy stare puszki po oleju samochodowym, liny, podziurawiony materac i kilka książek. W nozdrza wdziera się zapach moczu i butwiejących desek. Pod ścianą leżą kości jakiegoś zwierzęcia. Sceneria wyjęta żywcem z postapokaliptycznej powieści. Dojeżdżamy do Arnarfjörður, drugiego co do wielkości fiordu na zachodzie Islandii. To jedno z najpiękniejszych miejsc w kraju. Pustkowie z majestatycznymi, skąpanymi w chmurach górami. Jeśli ktoś szuka odosobnienia, to miejsce nadaje się idealnie.

Trzydziestokilometrowa droga ciągnie się serpentynami wzdłuż fiordu. Między Arnarfjörður a Dýrafjörður znajduje się najwyższy szczyt Fiordów Zachodnich – Kaldbakur (998 m n.p.m.), często mylony ze szczytem o tej samej nazwie w Eyjafjörður. W deszczu i mgłę prawie umyka naszej uwadze

wodospad Dynjandi. W tych warunkach nie sposób go sfotografować. Choć nazwa wodospadu w wolnym tłumaczeniu to „grzmiący”, a jego szerokość przy wylocie sięga trzydziestu metrów, w złą pogodę słyszać tylko cichy szum i stukanie owczych kopyt. Pod samochodem ciągle kotłują się kamienie, więc o podróży w ciszy nie może być mowy. Jedziemy wolno, oglądając dziesiątki domków letniskowych wyrastających w miejscach, o których możemy tylko pomarzyć. Mija godzina, zanim dostrzegamy większe skupisko zabudowań. W oddali widnieją białe kościoły, nad którym krążą kruki, niezwykle dom o trawiastym dachu i jasny budynek. Zastanawiamy się, czy zjechać z szutru. Coś nam mówi, że powinniśmy, musimy. Decydujemy się zaparkować obok wzgórza obrosłego łubinami i porozmawiać z kimkolwiek. Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale nasza podróż po Fiordach Zachodnich miała swój początek w Hrafnseyri – miejscu, gdzie zaczęło się wszystko. Gdzie zaczęła się niepodległa Islandia.

Wchodzimy do środka. Jest czysto i nowocześnie. Witają nas wystające zza lady oczy, które do złudzenia przypominają spojrzenie wodnika z obrazu Theodora Kittelsena. Krótko ostrzyżony mężczyzna wydaje się przestraszony naszą obecnością. Nie przypuszczał, że ktokolwiek tu wejdzie. Pytamy nieśmiało, czy możemy zwiedzić muzeum, ale milczy i dopiero po kilku dłużących się sekundach wstaje. Posturę ma solidną, islandzką. Jego wzrok ucieka to w jedną, to w drugą stronę. W końcu odpowiada, że to miejsce poświęcone jest pamięci Jóna Sigurðssona. Wiemy tylko tyle, że możemy go dziś oglądać na znaczkach

i banknotach pięćsetkoronowych, a jego pomnik stoi na Laugavegur, jednej z głównych ulic Reykjavíku. Mężczyzna przedstawia się jako Einar, jest tu kustoszem. Nie pyta o bilet za wejście, ale gdy zaczynamy się uśmiechać przy kasie, zyskuje jako taką pewność siebie. Łamanym angielskim zaczyna krótką opowieść o Ojcu Niepodległości.

– Gdy przyszedł jako młody chłopak do gimnazjum, nauczyciel od razu zaliczył mu wszystkie przedmioty. Młody Jón wiedział tyle, ile trzeba było wtedy wiedzieć.

Kustosz chodzi za nami krok w krok jakby w obawie, że cokolwiek pominiemy. Że nie zauważymy eksponatów ukrytych za grubym szkłem.

– W Danii studiował jednocześnie wiele kierunków – odzywa się, gdy stoimy obok którejś z gablot.

Znów zapada milczenie. Chodzimy, robimy zdjęcia, czytamy. Gdy podchodzimy do reprodukcji dagerotypu przedstawiającego Sigurðssona, doskakuje do nas znowu.

– Jego żona kochała go tak bardzo, że czekała dwanaście lat na powrót męża. Tylko Islandczycy tak potrafią.

Dopiero pod koniec tego osobliwego spaceru dowiadujemy się, że Einar pracuje tu zaledwie od trzech dni. Nie chce powiedzieć, skąd jest, ale podkreśla, że nie stąd. Mówi, że więcej historii zna Valdi – pracownik muzeum z dziesięcioletnim stażem, który kręci się gdzieś w pobliżu. Obchodzimy więc budynek, oglądamy stare sprzęty rolnicze i małą wystawkę z napisem w dwóch językach „*leikföng/toys*”, gdzie na brudnym kocu leżą muszle i kości. Osobliwe miejsce, osobliwe zabawki.

Wreszcie obok kościoła znajdujemy Valdiego. Krótkie siwe włosy, zmarszczki i jednodniowy zarost. Pierwsze wrażenie jest takie, że albo ma coś do ukrycia, albo sam siebie chciał ukryć w Hrafnseyri. Podobnie jak Einar, nie urodził się na Fiordach Zachodnich. Pytamy go, co może o sobie powiedzieć. Zastanawia się długo i w końcu, ze smutnym uśmiechem, odpowiada: „To moje jedenaste miejsce”.

– Na pewno mieliście w Polsce kogoś takiego jak Jón Sigurðsson. – Valdi spogląda na niewielki cmentarz schowany za gęstniejącą mżawką. – Kogoś, kto wywalczył dla was niepodległość.

– Oczywiście – odpowiadamy, myśląc o wąsaczu na koniu. – A wiesz, że Polska była pod okupacją sto dwadzieścia trzy lata? – pytamy, bo może nie wie, może nie słyszał.

– Wiem. Islandia była pod rządami duńskimi przez pięćset sześćdziesiąt cztery lata – odpowiada rozbawiony Valdi. – Wiemy, co znaczy żyć pod butem.

Dzień się nie kończy, więc ruszamy dalej. Czerwiec to okres białych nocy, czas kiedy nieprzyzwyczajony do tego organizm myśli, że może więcej, dłużej, mocniej. Pogoda taka, że czeka nas jednak noc w sinym kolorze, klejąca się od mgły i nisko zawieszonych chmur. Malowniczo położone Ísafjörður wyłania się nagle po wyjeździe z tunelu Vestfirðir, będącym swoją bramą do miasta. Przed tunelem nie padało, a teraz jakby ktoś przepuścił chmury przez sito. Coraz więcej kropli uderza w szybę samochodu. Miasto wydaje się martwe. Puste ulice tonące w deszczu, puste domy bez światła i cienia. Przy wyjeździe

falują na wietrze fioletowe łubiny. W hotelach nie ma miejsc. Czekamy ponad dwadzieścia minut w recepcji największego z nich, by ktokolwiek nas obsłużył. Bez rezultatu. Po dwóch godzinach poszukiwań znajdujemy przyjemny *guesthouse* i możemy odpocząć. Następnego dnia czeka nas droga do Strandir, jednej z najmniej zaludnionych części kraju. To dziwny region. W 1643 roku biskup Islandii ukarał naganą tamtejszego kapłana za to, że palił, odprawiając msze.

Dla przyjezdnych Fiordy Zachodnie otacza aura tajemnicy, dla większości miejscowych to po prostu normalne i bardzo spokojne miejsce do życia. Auðgeir, spotkany na stacji benzynowej Islandczyk z Patreksfjörður, stwierdził, że natura jest tu i tak wystarczającą pożywką dla wyobraźni, więc karmienie dzieci upiornymi historiami nie ma sensu. Jeśli jest tu coś strasznego, to tylko pogoda. Birta Guðmundsdóttir, dwudziestolatka z Reykjavíku, która spędziła dzieciństwo w Ísafjörður, potwierdza te słowa. Ze strasznych historii dziewczyna pamięta dobrze tylko opowieść o Jólakötturinnie – świątecznym kocie.

Zwierz należący do trollicy Grýli zjada nie tylko swoją ulubioną potrawę – gulasz z niegrzecznych dzieci, ale również pożera te, które nie dostały w prezencie nowych ubrań na święta Bożego Narodzenia. Niegdyś ten osobliwy zwyczaj wykorzystywany był przez rolników, którzy Jólakötturinnem straszili swoich podwładnych, by ci szybciej uporali się ze strzyżeniem owiec. Wełny można było wtedy użyć przed świętami, a więc dać nowe

ubrania tym, którzy pracowali najciężej. Najbardziej leniwi skazani byli na chowanie się przed żarłocznym zwierzęciem

– Może to wcale nie wydawać się straszne, ale wyobraź sobie, że masz kilka lat, słuchasz takich rzeczy, a później w ciemnościach i wichurze wracasz do domu od koleżanki. Każda skała i cień przybierały wtedy kocie kształty. Dziś to oczywiście śmieszne, ale najmłodsi naprawdę wciąż to przeżywają.

Grzyła to również matka trzynastu mikołajów, które pojawiają się trzynaście dni przed świętami. Ich ojcem jest Leppalúði, jeden z najohydniejszych ogrów w mitologii Islandii. Od dwunastego grudnia jeden po drugim synowie trollicy i ogra odwiedzają mieszkańców wyspy. Każdy z nich zajmuje się innymi psotami, zakłócającymi spokój Islandczyków. Podglądają, wylizują miski, kradną świeczki, wołowinę, wypieki i kiełbasę, ale też trzaskają drzwiami i męczą owce. Im bliżej jednak naszym czasom, tym mikołaje przyjaźniejsze, więc z dawnych żartownisiów i złodziei szpetna trzynastka ewoluowała do postaci zostawiających prezenty w skarpetach. Po amerykańsku.

Poza tym dla Birty wszystko w dzieciństwie było normalne. Miasto, sklepy, także ludzie i ich wzajemne relacje. Tylko bardziej wyciszone, skupione na człowieku, czystsze. Również marzenia były inne, bardziej lokalne – sprowadzały się do tego, by dostać konia, a nie, na przykład, spotkać ulubionego piosenkarza.

– Mama mówiła mi, że tutejsze dzieciaki oprócz zabaw na śniegu czy zbierania muszli miały też inne rozrywki. Jedną z nich było wejście na górę w pobliżu miasta. Można z niej było zobaczyć Naustahvilt, pośladki trolla.

Ktokolwiek wjechał kiedyś do Ísafjörður, musiał widzieć otaczającą fiord ogromną obręcz składającą się z płaskich wzniesień. Miejskowa legenda głosi, że strome wgłębienia, do złudzenia przypominające odcisk pośladek, powstały, gdy trollica uciekająca przed światłem słonecznym zapagnęła odpocząć. Po długim biegu usiadła na jednej z gór, a zmęczone stopy ustawiła w miejscu, gdzie dziś znajduje się port w Ísafjörður.

– Gdy mama miała dziesięć lat, do głowy przychodziły jej tak samo dziwne pomysły jak dzieciakom z tych okolic. Wśród nich było właśnie pragnienie zobaczenia z dużej wysokości wgłębień po pośladekach trolla. Pewnego dnia zaczęła więc wspinać się na jedną z gór. Wejście tam nie jest łatwe nawet dla doświadczonych trekkingowców. Po niespełna godzinie zsunęła się ze zbocza na sam dół. Na szczęście skończyło się tylko na zadrapaniach i potłuczeniach.

Birta nie wie, czy odpływ ludzi z Fiordów Zachodnich spowoduje, że tereny te zupełnie opustoszeją. Sama przeniosła się do stolicy, ponieważ chciała poznać świat, studiować na większej uczelni, spotkać ludzi. Spróbować choć przez chwilę żyć inaczej. Młodzi Islandczycy nie są już tak związani z ziemią jak jeszcze niedawno ich przodkowie. Nowy wiek otworzył całkowicie nowe możliwości, dlatego tak wielu Islandczyków dziś pracuje i mieszka poza wyspą. Nie tylko młodzi ludzie mają takie podejście. Jón Kjartansson przez dwadzieścia lat pracował w Niemczech jako pilot. Dzieci wyjechały do Stanów, żona odeszła, a gdy przeszedł na emeryturę, musiał opuścić służbowe mieszkanie. Pojawiła się perspektywa powrotu na rodzinną

Islandię, na starą kilkudziesięciohektarową farmę leżącą gdzieś na północ od malowniczego lodowca Vatnajökull.

– Niejednego z nas cieszyłaby myśl o powrocie do kraju, spotkaniu starych przyjaciół – mówi Jón. – Taki zresztą plan ma większość emigrantów: wyjechać, jakoś żyć, zarobić, wybudować dom w swojej wiosce i kupić bilet powrotny. Ale ze mną było inaczej. Pamiętam, że płakałem. Przekliinałem perspektywę powrotu do tych pieprzonych kamieni, wichur i pustki.

– Teraz odpowiada mi miejski klimat. – Birta zamyśla się. – Ale kto wie, gdzie będę za kilka lat? A na Fiordach Zachodnich powstaje wiele nowych firm, dających zatrudnienie wielu ludziom. Nowe miejsca pracy, mieszkania tańsze niż w Reykjavíku i w pobliżu stolicy. To powinno przyciągać sporo osób, ale naprawdę nie wiem, jaka przyszłość czeka tę część kraju. Rozrywek jest tu niewiele, monotonii za to pod dostatkiem. Zastanawiam się jednak, czy tu kiedyś nie wrócić. To naprawdę bezpieczna przestrzeń, dobry klimat do założenia rodziny, wspaniałe miejsce do wychowywania dzieci, uczciwego, spokojnego życia, zacieśniania przyjaźni, cieszenia się samym istnieniem. Zresztą to, co najbardziej kocham w Islandii, oprócz piwa, to właśnie nasza natura. Wyjątkowa.

✱

Mijamy dziesiątki opuszczonych miejsc, podniszczonych domów – najprawdopodobniej niezamieszkanych, tuzin farm i kilka nowoczesnych sumarhúsów, gdzie latem Islandczycy

odpoczywają od miasta. Przejeżdżamy przez Arnardalshamar, najkrótszy – trzydziestometrowy – tunel na Islandii. Przezorny kierowca powinien zatrzeć dwa razy z szacunku dla trolli. Zwracamy, bo oczywiście za późno wcisnąłem klakson. Nigdy nic nie wiadomo. Zatrzymujemy się w Súðavíku, mieście zamierzającym zimą. W 1995 roku o szóstej trzydzieści rano z gór zeszła potężna lawina. Zginęło czternaście osób – ośmioro dzieci i sześcioro dorosłych. Po dwudziestu czterech godzinach spod śniegu jako ostatniego odkopano dziesięcioletniego chłopca z Polski. Rok wcześniej przeprowadził się tam z matką. Uratowało go łóżko wodne. Wiele lat później, w wywiadzie dla Morgunblaðið, który pojawił się także na Iceland News Polska, jedynym portalu informacyjnym dla Polonii, Tomasz Pór Veruson opowiadał:

– To było jak sen, bardzo długi sen. Byłem cały czas świadomy. Czułem się tak, jakby moja mama była ze mną i miała mnie zaraz uratować. Długo nic się nie działo, a potem usłyszałem stukanie. To były kije ratowników sprawdzających, czy ktoś znajduje się pod śniegiem. Później mnie wykopano spod lawiny.

Jesteśmy głodni, więc zatrzymujemy się na stacji benzynowej będącej w miejscowościach takich jak ta restauracją, miejscem spotkań, salą telewizyjną. Tu w spokoju można wypić piwo i obejrzeć mecz. Amma Habby to bar urządzonej w amerykańskim stylu. Na ścianach zdjęcia hollywoodzkich gwiazd,

równy poustawiane butelki z alkoholem, na półkach modele harleyów, stare radio pamiętające lata sześćdziesiąte w Maine, flaga konfederatów. Zamawiamy burgery w zestawie. Skoro przyłożyli się do wystroju, to i pewnie kuchnię mają dobrą. Nie wiemy, jak to się dzieje, ale na końcu świata dają naprawdę najlepsze frytki pod słońcem.

Gdy wstaliśmy, mężczyzna w koszulce piłkarskiej reprezentacji Islandii pyta nas, czy smakowało. Błękitne bystre oczy, niewymuszony uśmiech, około pięćdziesiątki. Wymieniamy uprzejmości i już mamy się żegnać, gdy wyjaśnia:

– Miasto przeniesiono kawałek dalej. To znaczy cztery domy. Jak pojedziecie tam – wskazuje palcem – w górę, to wszystkie budynki będą nowe, oprócz tych czterech.

Mężczyzna nazywa się Heimir Freyir Geirsson. Nie urodził się na Fiordach Zachodnich, co nas nie zaskakuje. Jest właścicielem tego miejsca i cały sezon spędza w Súðavíku. Gdy pytamy o miejsce urodzenia, odpowiada z lekką dumą: Vestmannaeyjar. Archipeląg oddalony dziewięć kilometrów na południe od Islandii. Jego nazwa pochodzi od uciekinierów, banitów i wygnańców przybyłych z Irlandii.

Heimir pamięta 1973 rok i wybuch wulkanu Eldfell, który nieomal rozłupał wyspę na dwie części.

– Miałem wtedy dziesięć lat. Spałem i pamiętam, jak przybiegł jeden z marynarzy. Krzyczał do nas po farersku, że wyspa wybuchła – wspomina z lekką ekscytacją.

Dopiero teraz dostrzegamy, że ma przezroczyste oczy, jakby tęczęwki ukryte były pod warstwą lodu.

– Byłem przerażony, chociaż nie do końca wiedziałem, co się dzieje. Wsiadaliśmy w popłochu na łódzie i trzeba było odpłynąć jak najdalej, bo wulkan wypluwał gorące kamienie. – W tym momencie z nosa Heimira leci krew, którą szybko wyciera nadgarstkiem, po czym kontynuuje. – Było dużo sprzątanina, bo popiół przykrył całe miasto. Zginął tylko jeden człowiek, alkoholik. Po tym wybuchu wyjechało sporo ludzi.

Islandia – wyspa aktywnych wulkanów i olbrzymich lodowców, gorących źródeł i tysięcy wodospadów. Miejsce, o którym marzy wielu turystów. Obszar równy jednej trzeciej powierzchni Polski zamieszany przez niespełna czterysta tysięcy osób.

Berenika i Piotr, autorzy bloga *IceStory*, osiedlili się na Islandii, aby poznać prawdziwe życie w kraju, który kusi i zachwyca surowym pięknem, ale też wiele wymaga od swoich mieszkańców. Poznają historię i skutki kryzysu finansowego – w 2008 roku dotknął on nie tylko Islandczyków. Penetrują wyspę w poszukiwaniu opuszczonych miejsc. Odwiedzają odizolowany Djúpavík. Kiedyś była to jedna z największych na świecie przetwórni rybnych zatrudniająca setki pracowników, dziś mieszka tam garstka ludzi. Udają się na archipelag Vestmannaeyjar. W 1973 roku wybuch wulkanu Eldfell niemal rozpołowił jedną z jego wysp i zmusił mieszkańców do ewakuacji.

Szepty kamieni ukazują nieznane, nieopisywane w przewodnikach oblicze Islandii. Niczego nie ujmując jej urokowi, dopowiadają niedopowiedziane.

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-437-5



9 788375 154375

www.otwarte.eu

Cena detal. 39,90 zł

ICELAND news
POLSKA

KONTYNETY

ICESTORY.pl